

ZUZANNA ORLIŃSKA

**Z Bożej
łaski
Jadwiga,
król**

Zuzanna Orlińska
Z Bożej łaski Jadwiga, król

© by Zuzanna Orlińska
© by Wydawnictwo Literatura

Konsultacja historyczna:
dr hab. Bożena Czwojdrak

Okładka:
Sylwia Szyszeń

Mapa i drzewa genealogiczne:
Mikołaj Kamler

Korekta i skład:
Aneta Kunowska, Joanna Pijewska

Wydanie I

ISBN 978-83-7672-527-7

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2017
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wyd-literatura.com.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wyd-literatura.com.pl

Od autorki

Przez stronicę tej książki przewinie się wiele postaci historycznych: królowie, książęta, biskupi i rycerze. Również bohaterowie drugo-, a nawet trzecioplanowi są przeważnie postaciami autentycznymi. Skąd znamy ich imiona? Skąd wiemy, jak wyglądało ich codzienne życie?

Najwięcej informacji na temat funkcjonowania dworu Jadwigi i Jagiełły można zaczerpnąć ze skrupulatnie prowadzonych rachunków. Z tych niepozornych dokumentów da się wyciągnąć wnioski co do składu królewskiego otoczenia, wystroju zamkowych wnętrz, obyczajów, mody, upodobań kulinarnych i życia osobistego pary władców. Dzięki zachowanym rachunkom do naszych czasów przetrwały imiona osób, które nie wślawiły się wielkimi czynami na polach bitew ani nie odegrały znaczącej roli w polityce czy kulturze swojej epoki. Kucharz Dominik, opalacz komnat Malpesz, stróż Wawrzyniec czy psiarczyk Zbramir stają nam jak żywi przed oczami. Ze wzruszeniem dowiadujemy się, że ulubiony koń Jagiełły miał na imię Bartosz, że królowa lubiła gruszki, a król nie znosił jabłek, że chętnie zażywał kąpieli, a latem ochraniał głowę przed słońcem słomkowym kapeluszem. Poznajemy hojność monarchy, który szczerze obdarowywał swoich dworzan pieniędzmi i upominkami. 22 listopada 1394 roku zanotowano, że nagrodę z jego

rażą odebrali łąziebny Opanasz, a także flecista Gromko i Mikołaj Zimnowodzki. Czyżby tu zaczynała się nasza opowieść? A może raczej 8 sierpnia roku 1396, kiedy to królowa Jadwiga wydała dokument potwierdzający, że „w nagrodę cnotliwych postępków i obyczajów, którymi Formoza de Wanszwoja, niegdyś panna dworska przy boku naszym, teraz zaś narzeczona Stanisława Gamrata, wzbudzała zawsze upodobanie nasze”, zostanie jej naznaczony posag w wysokości stu pięćdziesięciu kop groszy praskich? Królowa doceniła młodą damę za „wierną służbę, kulturalne obyczaje oraz rozmowy miłe naszemu obliczu”. Żaden kronikarz nie odnotował, kim była osoba o tajemniczym imieniu Formoza pochodząca z nieznanego miejsca Wanszwoja. Skąd się wzięła na dworze? Dlaczego to królowa musiała zapewnić jej posag, czyżby panna nie miała rodziny? Co za pożywka dla pisarskiej wyobraźni!

Jednak żeby podróżować w odległą przeszłość, potrzebna jest nie tylko wyobraźnia, ale i spora dawka wiedzy. Wiele zawdzięczam specjalistom-historykom, którzy podsuwali mi odpowiednie książki i wyjaśniali trudniejsze kwestie. Podziękowania należą się przede wszystkim dr hab. Bożenie Czwojdrak z Uniwersytetu Śląskiego za wszechstronną opiekę, pomoc i dostarczanie lektur, dr Annie Markiewicz z Uniwersytetu Jagiellońskiego za nieustające wsparcie, wspólne zwiedzanie muzeum katedralnego na Wawelu i wyjaśnianie tajemnic szkatułki z kości słoniowej oraz dr hab. Piotrowi Węcowskiemu z Uniwersytetu Warszawskiego za pomoc w ustaleniu, w jakim tempie podróżował orszak Skirgiełły, a także Kajowi Małachowskiemu, który stał się inicjatorem powstania Grupy Formoza.

Kraków, lipiec 1401

Pierwszą noc w nowym miejscu Anna zawsze spędzała bezsennie. A od wielu tygodni niemal każdej nocy znajdowała się w innym miejscu. Od chwili wyruszenia w tę trudną i daleką podróż źle sypiała. W ciągu dnia czuła się zmęczona i osowiała, na zmieniające się krajobrazy patrzyła ze zdumieniem, jakby żyjąc wciąż na pograniczu snu i jawy, nie wiedziała, w którym z tych światów umieścić mijane góry, lasy, przebywane rzeki, zakurzone gościńce ciągnące się aż po horyzont. To było dziwne uczucie. Zwłaszcza dla kogoś, kto przedtem dwadzieścia lat spędził w jednym miejscu.

Teraz jednak znalazła się u celu. Podróż skończyła się jak sen w chwili, gdy za Anną z hurgotem opadła zakratowana brama ogromnego zamczyska.

Wydawało jej się, że kiedy droga dobiegnie końca, będzie bardzo przejęta, tymczasem nie czuła nic prócz tego, że zmarzły jej nogi.

To dziwne, przecież jest lipiec – pomyślała. – Na dworze upał, a tu...

Poprawiła poduszkę pod głową i wyobraziła sobie siebie małą i skuloną w ogromnym łożu, potem łoże pośrodku komnaty zbyt wielkiej, by jej mroki mogło rozjaśnić nędzne światełko łożowej lampki stojącej na skrzyni, potem tę komnatę

jako jedną z wielu dziesiątek podobnych komnat w ponurym zamczysku na skale, a wreszcie – niewyobrażalny szmat drogi dzielącej ten zamek od jej domu. I wtedy musiała się rozplakać.

Dom, którego zapewne już nigdy nie zobaczy, został w Słowenii, na wysokiej górze nad rzeką Savinją. Stare rycerskie gniazdo ani zbyt obszerne, ani wygodne, jednak przecież potężniejsze i piękniejsze od siedzib okolicznych wielmożów, panowało z góry nad ziemiami niewielkiego hrabstwa zwanego po słowiańsku Celje lub Cilli, w mowie, którą posługiwali się jego władcy. Anna nigdy nie myślała o tym, czy w domu jest ładnie, czy brzydko. Nie miała żadnego porównania, bo nie bywała w szerokim świecie. Poza tym dom to dom. Znane mury. Stare, lubiane sprzęty. Znajomy widok z okna.

Chlipnęła głośno i przełożyła poduszkę na drugą stronę, bo ta pierwsza była już całkiem mokra od łez.

Pomyślała o chwili, kiedy poselstwo z Polski wjeżdżało na dziedziniec. Stała wtedy na drewnianym krużganku łączącym wieżę obronną z mieszkalną częścią zamku. Z ciekawością przyglądała się barwnemu orszakowi, pełnemu strojnych rycerzy. Widziała, jak stryj Hermann w odświętnej szacie wychodzi im naprzeciw. Cieszyła się, bo w Cilli tak rzadko działo się coś interesującego. Nie miała pojęcia, że chociaż czuje się tylko obserwatorem, to właśnie ona jest główną bohaterką tej sceny. Nie zdawała sobie z tego sprawy aż do momentu, kiedy znalazła ją zdyszana służąca i przekazała polecenie stryja, by Anna przebrała się w najlepszą suknię i natychmiast stawiała w głównej sali zamku.

Wykonanie pierwszej części tego polecenia nastęrczało pewnych trudności, ponieważ Anna nie miała czegoś takiego

jak najlepsza suknia. Wszystkie ubrania, jakie posiadała, były mniej więcej podobne i raczej codzienne. Na szczęście w jej sypialni zaraz zjawily się służące i błyskawicznie przebrały Annę w najpiękniejszą suknię kuzynki Barbary – zieloną, połyskliwą, naszywaną perłami. Co prawda suknia nie chciała się dopiąć na tęgawej Annie – kuzynka Barbara była o ładnych kilka lat młodsza i dużo szczuplejsza – ale na takie drobiazgi nikt nie zwracał uwagi. Służące pomogły Annie wbić się w za ciasny strój, przyczesaly jej zmierzwione włosy i mogła wbiec do sali, w której oczekiwał już stryj Hermann wraz z polskimi panami.

Było ich trzech. Stała przed nimi sztywno (ciasna suknia nie dawała zbyt wielkiej możliwości ruchu), czując się jak przed sądem decydującym o jej życiu lub śmierci. Oni powstali z miejsc, skłonili się jej z szacunkiem, a potem milczeli i patrzyli na nią poważnym wzrokiem, z którego niewiele dało się wyczytać.

Kłopotliwą ciszę przerwał stryj. Podbiegł do Anny, chwycił ją w objęcia, zaczął ścisnąć i całować. Po policzkach płynęły mu łzy radości.

Anna osłupiała. Stryj nigdy nie był zbyt wylewny. Prawdę mówiąc, traktował ją jak powietrze. Jego ulubienicą była najmłodsza córka Barbara, śliczna, bystra i wygadana. W ogóle w tej rodzinie Anna znajdowała się na drugim planie, przynajmniej od chwili, kiedy jej matka, wdowa po bracie Hermanna, wyszła po raz drugi za mąż za hrabiego Teck i przeprowadziła się do Bawarii bez córki. „Masz zostać i pilnować schedy – tłumaczyła Annie. – Jeśli zabiorę cię ze sobą, stryj szybko zapomni, że jesteś dziedziczką Cilli i masz takie same prawa jak jego dzieci!”

Anna zatem posłusznie została. Zawsze była posłuszna. Teraz także posłusznie oddawała stryjowi uściski, w duchu zastanawiając się, o co chodzi.

– Niespodzianka, Anno! – wołał stryj, śmiejąc się przez łzy. – Czy masz pojęcie, jaki cię spotkał zaszczyt? Zostaniesz polską królową!

Polską królową? To chyba jakiś żart! Anna popatrzyła na trzech posłów, lecz ich miny nadal były nieprzeniknione.

– Słyszysz, hrabianko von Cilli? – stryj chwycił Annę za ramiona i chyba tylko ze względu na obecność polskich panów powstrzymał się od potrząśnięcia dziewczyną. – Król Władysław przysłał posłów aż z Krakowa! Będiesz królową! Cóż to? Czy wcale cię to nie cieszy?

Anna czuła, że gdyby nie suknia Barbary, opinająca ją ciasno jak zbroja i utrzymująca ciało w pionie, natychmiast by zemdląca.

Jeden z mężczyzn ponownie się uklonił.

– To prawda, szlachetna hrabianko. Władysław, z Bożej łaski król Polski, ziemi krakowskiej, sandomierskiej, sieradzkiej, łęczyckiej, Kujaw, pan i dziedzic Pomorza i Rusi Czerwonej, najwyższy książę Litwy, ma zaszczyt prosić o twoją rękę.

– No nie stój tak, uklon się chociaż! – syknął stryj do ucha Anny, udając, że znowu chce ją uściskać. – Podziękuj za tak wielki honor!

Anna wydukała jakieś słowa wdzięczności, chociaż później w ogóle nie mogła sobie przypomnieć, co mówiła. Nie słyszała także odpowiedzi szlachetnych panów, tak głośno było jej serce.

Potem wszystko potoczyło się szybko. Należało przygotować wyprawę godną polskiej królowej i trzeba przyznać, że stryj nie poskąpił pieniędzy na ten cel. Przez długie miesiące szyto, haftowano, przygotowywano sprzęty i naczynia, które cylejska hrabianka miała zabrać ze sobą do Krakowa.

I wreszcie nadszedł ten dzień. Anna wyjechała konno za bramę zamku Cilli, otoczona przez orszak zbrojnych rycerzy, których stryj przydał jej do towarzystwa i ochrony w drodze. Za nią poturkotały wypełnione wyprawowymi dobrami wozy. Kiedy koń niósł ją w dół stromą drogą, a zamek Cilli zostawał w tyle, coraz mniejszy i odleglejszy, poczuła niespodziewaną radość. Była pewna, że wreszcie zaczyna się życie. Nie nowe życie. Po prostu – życie.

Nie obejrzała się za siebie ani razu.

Poduszka była kompletnie przemoczona. To skłoniło Annę do uniesienia głowy, a kiedy już ją uniosła, postanowiła wstać. W łóżku było pewnie tak samo zimno jak poza nim. Przeszła bosą parę kroków po kamiennej podłodze. Koło skrzyni znalazła swoje pantofle, wsunęła je, a potem wzięła do ręki tłącą się łojówkę. Starając się nie narobić hałasu, wyszła na korytarz. Lampka dawała tak nikłe światło, że dziewczyna szła prawie po omacku. W pewnej chwili tuż obok siebie usłyszała głośne chrapnięcie i to powstrzymało ją od nadeptnięcia na młodego pazia, rozciągniętego wygodnie na kobiercu. Biedny chłopak, pozostawiony tutaj, by całą noc czuwać nad jej spokojem, spał kamiennym snem i nawet nie drgnął, kiedy koszula Anny musnęła jego ramię.

Ominęła go ostrożnie i poszła prosto aż do rozwidlenia korytarzy. Rozejrzała się i wybrała tę drogę, która wiodła wzdłuż szeregu okien. Blask księżyca pozwalał jej dobrze widzieć nawet wtedy, gdy przeciąg zdmuchnął płomyk lampki.

Nasłuchiwała czujnie. Dźwięki docierały tu z daleka, może z niższych pięter, tłumione przez grube mury. Trzaśnięcie drzwi lub okna. Skrzywienie starych drewnianych belek. Czasami jakieś ciche stąpanie. Bała się, że nagle ktoś wyjdzie zza rogu i ją zobaczy. Ale wędrownka po uśpionym zamczysku spodobała jej się tak bardzo, że nie miała ochoty zawracać.

Idąc tak bez celu przed siebie dotarła do oddalonej części zamku, gdzie już nic nie było słyhać. W opuszczonych komnatach rozlegały się echem tylko jej własne kroki. Teraz ogarnął ją strach. Wcześniej w ogóle nie myślała o tym, jak trafić z powrotem do własnej sypialni. Nagle wydało jej się to niemożliwe. Czy odnajdzie drogę w labiryncie korytarzy i podobnych do siebie komnat?

W chwili, kiedy zwątpienie ogarnęło ją na dobre i gotowa była znowu się rozpłakać, zobaczyła smużkę światła sączącą się ze szpary pod drzwiami.

Ktoś jednak był w tym opustoszałym skrzydle zamku, ktoś nie spał i mógł jej pomóc! Ta myśl dodawała otuchy. Nie zastanawiała się, co pomyśli osoba, która w środku nocy zobaczy w swojej izbie hrabiankę cylejską w samej koszuli. Śmiało pchnęła drzwi.

Znalazła się w obszernej komnacie oświetlonej ogniem palącym się na kominku. Było tu ciepło i przytulnie. Wielkie, wygodne łóżko okolone było zasłonami z grubej, miękkiej, wzorzystej materii. Przy oknie stał pulpit do czytania z otwar-

tą księgą. Pod ścianami zalegał mrok, ale przyglądając się dobrze, Anna wypatrzyła koło łóżka surowy drewniany klęcznik. Po drugiej stronie łóża dostrzegła przedmiot, którego przeznaczenia nie mogła odgadnąć, gdyż częściowo przysłaniały go zasłony. Musiał być wykonany z jakiegoś metalu, bo światło kominka wydobywało z jego powierzchni migotliwe błyski.

Komnata wyglądała, jakby przed chwilą ktoś ją opuścił. Na skrzyni przy drzwiach stała prostokątna szkatułka rzeźbiona w kości słoniowej, tak śliczna, że Anna, nie zastanawiając się nad tym, co robi, natychmiast po nią sięgnęła. Zamek nie był zamknięty na kluczyk. W środku znajdowały się przybory toaletowe: kilka grzebieni z rogu i srebra oraz pięknie oprawione zwierciadelko z polerowanego metalu. Anna aż westchnęła z zachwyty.

Musi tu mieszkać jakaś piękna pani, której uroda zasługuje na takie cuda – pomyślała.

Myśl ta podszyta była bólem, bo Anna miała świadomość własnej brzydoty. Tęgawa, o banalnych rysach twarzy i wiecznie przetłuszczającej się cerze, według własnej opinii wyglądała jak nieforemna, szara, żytnia kluska. Żółtawe włosy były rzadkie, a całej sylwetce brakowało wdzięku. Anna w głębi duszy bolała nad tym, nie tylko dlatego, że widziała, choćby na przykładzie kuzynki Barbary, że piękni ludzie mają w życiu łatwiej. Kochała wszystko, co piękne: pejzaże, przyrodę, ludzi i przedmioty.

Przyklęknęła koło skrzyni, gładząc płaskorzeźbione wieczko szkatułki. Kość słoniowa była ciepła i przyjemna w dotyku.

Wtem do komnaty weszła jakaś kobieta.

Anna zerwała się na równe nogi.

Osoba stojąca naprzeciw niej, pulchna i rumiana, mogła mieć niewiele ponad trzydzieści lat. Jej twarz, choć malowało się na niej zaskoczenie, była miła, okrągła, oczy pogodne, lecz Anna od razu wiedziała, że nie jest to piękna i elegancka mieszkanka tej komnaty. Wyglądała raczej na służącą.

– Jestem Anna von Cilli – odezwała się do kobiety po niemiecku, głosem drżącym i niepewnym, bo czuła, że wypada się jakoś wytłumaczyć z tego dziwnego nocnego najścia. – Nie mogłam spać, wyszłam z pokoju i... zgubiłam się, chodząc po zamku. Nie wiem, jak trafić do mojej sypialni.

Kobieta pokiwała głową, jakby wszystko było dla niej jasne.

– Wasze komnaty, pani, są po drugiej stronie zamku – powiedziała po polsku. – Jak zdołaliście dotrzeć aż tutaj?

Anna pokręciła głową. Nie rozumiała ani słowa. Może to wstyd – jej matka była przecież polską królowną, córką wielkiego króla Kazimierza, ale sama nie mówiła zbyt dobrze w ojczystym języku, bo od małego wychowywała się na węgierskim dworze. Anna знаła wyłącznie niemiecki – język swego ojca, i rozumiała trochę mowę słoweńskich poddanych z Cilli. Ta kobieta mówiła podobnie. Ale strach, zmęczenie i przeżycia ostatnich tygodni zatarły w pamięci Anny tamten język, stała więc bezradnie, oczekując, że sytuacja jakoś sama się wyjaśni.

Kobieta podeszła bliżej. Złożyła przed Anną uniżony ukłon i dalej mówiła szybko po polsku:

– Ja jestem Szkodzina, dostojna pani, żona Błażeja Szkody, dawniej służącego wielmożnego pana podskarbiego Dymitra... Od młodości służyłam Miłościwej Pani... Kiedy pan podskar-

bi umarł w zeszłym roku, mój mąż wziął w dzierżawę karczmę w Nowym Mieście Korczynie... „Zostań – powiada – przy dworze, a ja tam wszystko urządzę. Jak będzie gotowe, to po ciebie przyślę”. No to zostałam. Prałam ręczniki i prześcierała królewskie, a w wolnej chwili doglądałam tej komnaty... bo tu... tu nasza Miłościwa Pani, Jadwiga... – spuściła wzrok i głos jej się załamał. Potem szybko podniosła głowę i spojrzała prosto w oczy Anny. – Jadwiga – powiedziała wolno. – *He... Hedvigis*, jak mówią po łacinie. Rozumiecie, szlachetna pani?

– *Hedvigis* – powtórzyła Anna. Rozumiała.

Pokój, w którym się znajdowała, należał do królowej Polski. Poprzedniej królowej – pomyślała w pierwszej chwili, ale natychmiast sama się skarciła. Hola, hola, hrabianko Anno, jeszcze nie jesteś żadną królową! I wcale nie wiadomo, czy nią będziesz...

Kiedy tylko ta myśl przyszła jej do głowy, natychmiast znów załapała się łzami. Nie potrafiła pohamować spazmatycznego łkania. Wiedziała, że wygląda jak wariatka, lecz nic nie mogła na to poradzić.

Na twarzy kobiety malowała się niepewność. Wreszcie podjęła jakąś decyzję i wyciągnąwszy przed siebie ręce, chwyciła Annę w ramiona.

Poprowadziła ją ku zaścielonemu adamaszkiem* łożu, tam posadziła i przycisnąwszy mocno jej głowę do swego obfitego biustu, zaczęła gładzić po włosach, mówiąc uspokajająco:

– Nie płacz tak, dziecko, nie trzeba... Opuchną ci oczki od tego płakania i jak też jutro będziesz wyglądać?

* adamaszek – kosztowna tkanina, najczęściej jedwabna, z błyszczącym wzorem na matowym tle

Anna nie rozumiała ani słowa, jednak serdeczny, cichy głos kobiety mówiącej do niej z czułością jak do dziecka sprawił, że dziewczynę ogarnął błogi spokój. Raz po raz chlipiąc jeszcze, złożyła głowę na piersi Szkodziny i poczuła, że musi jej o wszystkim opowiedzieć.

Miała świadomość, że kobieta nie zna niemieckiego, wcale jej to jednak nie przeszkadzało. Czowała się tak samo nieszczęśliwa jak parę godzin temu w sypialni, lecz teraz był przy niej ktoś, kto współczuł, nawet jeśli jej nie rozumiał. Musiała to wykorzystać.

– Nie podobam mu się – wyznała, próbując powstrzymać chlipanie. – To było widać. Podszedł do mnie, uklonił się, podał mi rękę... Ale minę miał, jakby zjadł żabę... Jutro mnie odeślą, na pewno! Co za wstyd! Już widzę minę Barbary, kiedy zobaczy, jak wjeżdżam z powrotem na dziedziniec w Cilli! Niedoszła królowa! Wszyscy będą się ze mnie śmiali... I taka długa droga przebyta na próżno... Taka dłuuuuga droga! – Anna znów zaczęła rozpaczliwie szlochać. W końcu obtarła nos ręką i dodała buntowniczym tonem: – A przecież on też wcale nie jest zbyt śliczny! I... dosyć stary. I nie taki wysoki, jak myślałam. A w ogóle to łysieje. Czy mnie się ktoś pytał, czy lubię łysych mężczyzn? Czy ktoś się pytał, jak on mi się podoba? Nikogo to nie obchodzi! Wysłali mnie tu jak... jak cieleń na rzeź!

Przez chwilę w milczeniu walczyła z czkawką.

– Musiała być piękna, prawda? – podniosła głowę i spojrziała pytająco na służącą. – *Hedvigis*. Na pewno była piękna. Z pewnością nigdy nie odwracała się z obrzydzeniem od lustra jak ja. Miała cudowne włosy, które czesała kosztownymi grze-

bieniami – rozejrzała się po komnacie. – I była mądra – dodała, kiedy jej spojrzenie padło na pulpit. – Może nawet umiała czytać i pisać. Wszyscy ją kochali. „Gdy przechodziła, bił od niej blask doskonałości” – tak powiedział jeden z polskich posłów, kiedy go o nią zapytałam. A ode mnie nic nie bije. I dlatego on się ze mną nie ożeni, bo jestem głupia i brzyyyydka... – ostatnie słowa zmieniły się w przerywane czkawką ziewanie.

– Cicho, cicho, dziecino – Szkodzina pogładziła Annę po czerwonym policzku. Nie rozumiała słów, ale czuła, że dziewczyna wylewa przed nią wszystkie swoje żale. – Jakoś to będzie. Ależ przemarzłaś! – przestraszyła się, kiedy przypadkiem dotknęła lodowatej dłoni. – Chodź, połóż się tutaj, zagrzejesz chociaż nogi. Musisz być bardzo zmęczona, a jutro czeka cię trudny dzień.

Anna posłusznie poddała się silnym rękom obcej kobiety, która ułożyła ją w łóżu i otuliła adamaszkową pościelą. Zrobiło jej się ciepło i miękko... dobrze. Bardzo dobrze.

Ostatnie przed zaśnięciem spojrzenie rzuciła za zasłonę, gdzie stał ów tajemniczy, połyskliwy przedmiot. Teraz widziała go wyraźnie.

To była srebrna kołyska.

W drodze do Krakowa, wrzesień 1384

Jakoż wam się widzi?

– A co ma się nie widzieć. Postawa godna, jak się patrzy. Szyja długa, cieniuchna. Dostojny krok.

Jadwiga przebudziła się nagle i usiadła w łóżku, nie bardzo wiedząc, gdzie jest. Przez szpary między grubymi modrzewiowymi balami prześwitywało światło. Zza ściany dobiegała głośna rozmowa. Nie wszystko rozumiała, ale zdawało jej się, że dwóch mężczyzn rozmawia o jakimś koniu.

– Trochę chuda – zauważył pierwszy głos.

– E, gdzie tam. Młode to jeszcze, zaokrągli się, jak urośnie – odpowiedział drugi.

– Główkę ma szlachetną, włos lśniący, a oczy, to już wam powiadam, jako te gwiazdy.

– Prawda, prawda. Oczy cudne. Ale smutno coś nimi patrzy.

– I czemu się dziwicie? Niełatwy los jej pisany. Samiuśka tu taka, bez ojca, bez matki, w obcej ziemi...

Dopiero teraz rozumiała, że nie rozmawiają o żadnej klaczy, tylko o niej.

Ogarnął ją gniew.

– Nie żałujcie jej aż tak bardzo, Wojciechu! Ledwo od ziemi odrosła, a już królową zostanie! Będzie chodzić w zło-

togłowiach* z koroną na głowie, a jak tylko skinie, spełni się każde jej życzenie.

– *Dada***! – zawołała Jadwiga. – *Dada!* Nianiu!

Rozmowa za ścianą umilkła. Dało się słyszeć pospieszne kroki i niska, gruba kobiecina w białym czepcu zjawiła się przy łóżku.

– Co się stało, skarbie? Coś złego ci się przyśniło?

– Kto jest w izbie obok?

– Tam? – niania kolebiąc się na boki, podeszła do drzwi i wyjrzała na zewnątrz. – Dwóch pachółków, których pan z Tarnowa przysłał na twoje usługi. Przeszkadzają ci spać? Mam ich oddalić?

– Nie, nie trzeba. Gdzie Erzsébet?

– Śpi. Chcesz, żeby tu przyszła?

– Nie. Usiądź koło mnie – powiedziała Jadwiga już spokojniej.

Niania przysiadła na łóżku i pogłaskała ją po głowie.

– Śpij, śpij, malutka. Odpocznij. Jutro czeka cię długa droga.

– Jak daleko jeszcze do Krakowa?

– Daleko, daleko. Jeszcze siedem gór i siedem rzek, i siedem gościńców... – mówiła niania cicho. Jadwiga westchnęła i odwróciła się do ściany. Po kryjomu, tak żeby niania nie widziała, wsunęła do ust pasmo włosów. Ssanie koniuszka warkoczya zawsze działało na nią kojąco. Nie pamiętała nawet, kiedy to się zaczęło. Przypominała sobie tylko jak przez mgłę, że gdy miała cztery lata i została wysłana do Wiednia, też uspokajała

* złotogłów – lśniąca tkanina o jedwabnej osnowie, używana na bogate stroje i szaty liturgiczne

** *dada* (węg.) – niania

się, biorąc do buzi pasemko włosów. Niani ten nawyk bardzo się nie podobał i tępiła go, jak umiała. Ale teraz nie mogła tego widzieć. Siedziała na łóżku, ciepłymi, szerokimi plecami dotykając pleców Jadwigi i mruczała jakąś monotonną kołysankę. Mężczyźni za ścianą nadal rozmawiali, tyle że dużo ciszej.

Jadwiga zamknęła oczy i zobaczyła kolorowe, błyszczące wieże jakiegoś dalekiego miasta. Warkocz wysunął się z jej ust i opadł na poduszkę.

Ujechali spory szmat drogi, zanim zatrzymali się na *prandium* – pierwszy poranny posiłek. Jadwiga wydostała się z kolebki*. Nie lubiła w niej podróżować, ale biskup Radlica nakazał, żeby każdego dnia chociaż część drogi przebywała w ten sposób, zamiast na końskim grzbiecie. Tłumaczył, że tak będzie lepiej dla jej pleców, szyi i głowy, więc, choć niechętnie, podporządkowała się medycznemu autorytetowi. Jednak podróż w kolebce bardzo jej się dłużyła. Strasznie trzęsło i niewiele było widać przez małe okienka. Teraz więc z ulgą wysiadła i rozprostowała kości.

Miejsce na popas wybrano na polanie, biegnącej łagodnym stokiem ku gościńcowi. Wysokie trawy, trochę już pożółkłe, chwiały się, gdy zawiewał lekki wietrzyk. Wyżej ciemną plamą rysował się gęsty iglasty las, a na skraju łąki rosło w półkolu kilka grubych dębów.

Bliżej gościńca panował straszliwy rozgardiasz: służba uwijała się tu i tam pomiędzy wozami z prowiantem a rozpalonymi naprędce ogniskami. Jedni dmuchali w ogień, żeby

* kolebka – czterokołowy pojazd konny używany w XIV–XVI w. z pudłem zawieszonym na pasach

go podsycić, drudzy biegli od strony lasu z wiązkami chrustu, inni, wyposażeni w gliniane dzbany, udawali się po wodę do źródelka, które wypływało spomiędzy wysokich jodeł.

Ci, dla których ten posiłek przygotowywano, szukali odpoczynku z dala od gwarne go obozowiska. Dwaj leciwi biskupi: okrągły jak jabłuszko Jan z Csanad i szczupły, suchy, o wąskiej twarzy kardynał Dymitr z Ostrzyhomia umościli się w cieniu pod dębami. Dalej, na skraju lasu, przycupnęły panny dworskie jak stado drobnych, kolorowych ptaszków. Dla polskich rycerzy, eskortujących królową od chwili przekroczenia przez nią granicy na Dunajcu, nie starczyło już miejsca w cieniu. Zostali więc przy swoich koniach, dostojni, pełni godności, połyskując w słońcu hełmami i ostrogami i dyskretnie obcierając spocone czoła.

Jadwidze także przygotowano miejsce pod dębami, ale miała już dosyć siedzenia. Przechadzała się wąską ścieżynką, zapewne wydeptaną przez bydło, wśród delikatnych, kruchych jesiennych traw i ostów, pomiędzy którymi połyskiwały jasne pasma babiego lata. Obok niej dreptał biskup krakowski Jan Radlica, niewiele wyższy od swej towarzyszki, krępy, siwawy, o dużej, podłużnej głowie, którą często przechylał na bok tak, jakby czegoś nasłuchiwał. Jego twarz miała zwykle zatroskany wyraz, który zniknął tylko wtedy, gdy wypływał na nią na poły ironiczny, na poły dobrotliwy uśmiech.

Biskup również wyjechał na spotkanie przyszłej królowej i przyłączył się do orszaku po polskiej stronie Dunajca. Dłużący się czas podróży wykorzystywał na nauczanie Jadwigi podstaw języka polskiego. Uważał, że „przyrodzona pani Królestwa Polskiego” musi przynajmniej jako tako władać mową swoich poddanych.

– Doskonale wam idzie, Miłościwa Pani! – chwalił. – Powtórzcie raz jeszcze: „drzewo dąb”.

– Drzewo dąb – posłusznie powtórzyła królowa. – To bardzo trudne, biskupie Janie. Dżewo dąb, dżewo dąb...

– Nie dżewo, tylko drzewo – poprawił biskup. – Nie takie to znowu trudne! Trudniejsze były słowa, przy pomocy których rycerze waszego pradziada, króla Władysława zwanego Łokietkiem, sprawdzali polskość krakowskich mieszczan po buncie wójta Alberta. Mieszczanie, przeważnie niemieckiego pochodzenia, wystąpili przeciw prawowitemu władcy i poparli Jana Luksemburskiego. Kiedy Łokietek powrócił do miasta, postanowił surowo ukarać buntowników. Żeby odróżnić Niemców od przyjaznych królowi Polaków, nakazywano im wypowiedanie czterech słów: „soczewica, koło, miele, młyn”. Prawda, że cudzoziemcowi mogą sprawić trudność?

– Soczewica, koło, miele, młyn... – wolno i dokładnie powtórzyła Jadwiga.

– No, od biedy... Może udałoby się jakoś ocalić waszą mądrą królewską głowę! – zażartował Radlica.

Jadwiga roześmiała się. Lubiła tego małego biskupa i bardzo się ucieszyła, kiedy wśród tylu obcych twarzy zobaczyła jego przyjazny uśmiech. Znała go od dziecka, bo służył jej ojcu jako osobisty medyk.

„Gdyby nie Jan Radlica, dawno by mnie już nie było na świecie – powtarzał król Ludwik. – To jeden z niewielu ludzi, którym można w pełni zaufać” – przypomniawszy sobie jego słowa. Wzięła biskupa pod ramię i powiedziała po polsku:

– Jestem głodna. Chodźmy zaraz coś zjeść.

– *Placet** – odpowiedział biskup Jan po łacinie. – Coraz lepiej. Może to dlatego, że przechowujecie w pamięci jakieś polskie słowa, znajome z dzieciństwa. Czy babka mówiła do was czasem po polsku?

Jadwiga zawahała się. Słabo już pamiętała babkę Elżbietę Łokietkównę, bo umarła, zanim dziewczynka ukończyła sześć lat. Jako małe dziecko bała się trochę tej energicznej i dumnej pani, która nie rozczulała się specjalnie nad wnuczkami i zawsze miała na wszystko jakąś ciętą odpowiedź. Najbardziej jednak przerażał widok jej dłoni z samym tylko kciukiem. Pozostałe cztery palce królowa straciła w zamachu. Podobno kiedyś, na długo przed urodzeniem Jadwigi, pewien człowiek, wiedziony chęcią zemsty na królewskiej rodzinie za krzywdy, których rzekomo od niej doznał, wpadł do sali jadalnej w czasie, gdy Elżbieta wraz z mężem i dziećmi zasiadała do obiadu i zaatakował królową. Pamiętką po tych wypadkach stała się zdeformowana dłoń ze straszną czerwoną blizną zamiast palców, której tak bardzo bała się później wnuczka i nadane przez nieżyczliwych przezwisko: Królowa Kikuta.

– Babka mówiła po polsku tylko, kiedy wpadała w złość – przyznała królowa ze wstydem.

– Rozumiem – biskup Radlica pokiwał głową. – Wobec tego słowa, jakich wtedy używała, nie nadają się raczej do powtórzenia.

– Niektóre pamiętam – dodała Jadwiga z uśmiechem. – Na przykład...

– Nie, nie! – zaprotestował biskup. – Wróćmy może do bardziej przydatnego słownictwa.

* *Placet* (łac.) – podoba się; tu: zgoda

– Czekajcie no, księżę biskupie, coś mi się przypomina. Szaławily! – gromko huknęła królowna. – Łapserdaki!

– Miłościwa Pani!

– Łotry! – dorzuciła z bezbłędnym akcentem.

Chudziutki giermek, który przebiegał obok z dzbanem pełnym piwa, stanął jak wryty i patrzył na śliczną królownę zdumionym wzrokiem. A ona posłała mu uśmiech, przybrała znowu zwykłą, niewinną minę i grzecznie podążyła za biskupem Radlicą tam, skąd dobiegała już przyjemna woń pieczonego mięsa.

Dni spędzane w podróży były łatwiejsze do zniesienia niż noce. W ciągu dnia zawsze działo się coś, co odwracało uwagę od smutku i tęsknoty: jakaś zabawna przygoda, zajmująca rozmowa czy ciekawy widok. W nocy Jadwiga zostawała sam na sam z myślami i wspomnieniami, a to było trudne do zniesienia, bo jak na osobę dziesięcioletnią myśli i wspomnień miała bardzo dużo. Najczęściej myślała o matce i siostrze. Wyobrażała sobie, jak mijają im kolejne dni na zamku w Budzie. Zastanawiała się, czym się zajmują, o czym rozmawiają. Kiedy wreszcie zasypiała, śnili jej się zmarły ojciec lub babka. Sądziła ją sobie na kolanach, przytulali mocno i szeptali do ucha:

– Tak to już jest i tak musi być. Królewskie dziecko musi umieć opuścić swój dom i swoich bliskich. Są bowiem sprawy ważniejsze od matki, ojca, sióstr i braci...

Jednak kiedy chciała spytać, jakie to sprawy, sen zwykle się urywał i budziła się rano, wciąż nie znając odpowiedzi.

Raźniej czuła się w dzień na końskim grzbiecie, skąd mogła rozglądać się z ciekawością i chłonąć widoki swojej nowej ojczyzny. Czy jechała wierzchem, czy w kolebce, zazwyczaj

towarzyszyły jej dwórki-przyjaciółki: Erzsébet i Anna, które potrafiły rozmową rozproszyć smutek. Po przekroczeniu granicy niewielu pozostało Węgrów w otoczeniu królowny. Wojewoda Spytek z Melsztyna wytłumaczył jej, że od czasu, gdy na Wawelu w imieniu króla Ludwika sprawowała rządy babka Elżbieta otoczona swym węgierskim dworem, rodacy Jadwigi nie są w Krakowie zbyt mile widziani. Doszło wtedy do poważnych rozruchów, wiele osób poniosło śmierć, ale o tym Spytek nie chciał mówić, wykręcając się, że był wówczas małym chłopcem i niewiele pamięta. Gdy Jadwiga nalegała, rzekł tylko, że więcej o tamtych sprawach opowie jej marszałek Przedbor z Brzezia, bo sam brał udział w owych wypadkach.

Jadwiga żałowała, że wszyscy znajomi węgierscy rycerze musieli zawrócić z drogi, kiedy znalazła się na polskiej ziemi, ale cieszyła się, że choć kilka dwórek pozwolono jej zabrać ze sobą. One, niania, dwaj biskupi, spowiednik – ksiądz Ivan i kilka osób służby – tyle zostało z całego jej węgierskiego otoczenia. Na szczęście był jeszcze biskup Radlica, a wielu spośród polskich panów, którzy wyjechali jej na spotkanie, posłowało wcześniej na dwór w Budzie i także umiało nieźle porozumieć się po węgiersku. Najmilszymi i najmłodszymi spośród nich byli Spytek z Melsztyna i Zawisza z Oleśnicy, wnuk kasztelana krakowskiego. Ci dwaj najczęściej jechali w pobliżu Jadwigi, gotowi w każdej chwili usłużyć jej lub udzielić odpowiedzi na wszystkie pytania.

– Widzicie ten biały klasztor na pagórku, Miłościwa Pani? – wojewoda Spytek pochylił ku królownie swoją smagłą twarz. – To Stary Sącz. Dzisiaj nam nie po drodze, bo przed nocą musimy stanąć w zamku nowosądeckim, ale innym razem powinniście tu koniecznie przyjechać.